

WIERZYM

W WOLNOŚĆ



Antologia opowiadań
o prawach człowieka

AMNESTY
INTERNATIONAL



Wydanie 1
Skład: 180heartbeats+ JUNG v MATT
Redakcja i korekta tekstu: Katarzyna Szarafińska
Copyright: Amnesty International Polska
2020

WIERZYM W WOLNOŚĆ

**Antologia opowiadań
o prawach człowieka**
na 30-lecie
Amnesty International w Polsce

KAROLA I MAGDA

INGA IWASIÓW

Plac zapełnia się powoli, uszczelniany sylwetkami drzew i budynków. Lubi ten proces. Wyjechała z domu godzinę przed czasem, przewidując korki. O tej porze miasto ogarnia amok, wszyscy chcą dotrzeć, zaparkować. Ludzie i auta tworzą strumień przelewający się między skrzyżowaniami w rytmie zmiany świateł, Trasa Zamkowa wygląda jak ciasno zasztatowany prom morski. Mogła darować sobie te pół godziny czujnego sterczenia na ulicy, gdy zmarzną jej końce palców u stóp i dłoni, gardło pokryje warstewka smogowej wydzieliny, lecz wypatrywanie ludzi ma jakiś sens. Coś tu się dzieje fizykalnego, zachodzi związek między lustrowaniem chronionego przez policję przejścia dla pieszych, powitaniem, grzebaniem w plecaku. Ściąga wzrokiem kolejne postacie spod centrum handlowego i przystanku kilku linii tramwajowych.

Obraca na języku „jestem, jesteście”, miękki refren dokonanego i niedokonanego, piosenkę wspólnoty. Od pozdrowień wymienianych na placu zależy nastrój kolejnych godzin. Siatka podtrzymująca świat zyskuje widzialność, pracujący przy jej rozciąganiu ludzie – tożsamość. Na co dzień poszarpana, a może po prostu zmyślona, tu zaś, podczas wykrzykiwania, wysłuchiwanie, skandowania, śpiewania, potrząsania, buczenia, klaskania, sprawia wrażenie dobrze uplecionej, miękkiej w dotyku, organicznej konstrukcji. Przychodzi, żeby się jej uchwycić, przejść na drugą stronę, ku czemuś zaledwie majaczącemu na horyzoncie, lecz nie-

zbędnemu, jak widok zachodu słońca nad zaniedbaną dzielnicą miasta, do której nie pasuje nic tak pięknego.

Wskoczyła na pozycję mówczyni trochę przypadkowo. Poczwała, że ma przemożną ochotę wyrzucić z siebie wszystko, co zmagazynowała w otulinie płytkiego oddechu, gdy zrozumiała, że życie nie jest łatwe do wzięcia, że zawodzi. Zachęciła ją do tego adwokatka Mila, która wygrała dla niej w sądzie spór z właścicielem salonów samochodowych i hurtowni części, obcinającym zapłatę za pisane w nadgodzinach programy i zamiast przelewów posyłającym jej śliskie maile w stylu: „Dziewczyno, omówmy kontrowersje w miłych okolicznościach wieczoru”. Nie zdzierżyła, nie tym razem. Firma była z wierzchu elegancka, spełniająca standardy europejskie, chwaliła się folderami kadra zarządzająca, ale wywieszony w sali rekreacyjnej kalendarzyk reklamujący wycieraczki na tle piersi nikomu nie przeszkadzał. Właściciel rzuconą podczas poważnej rozmowy o tej zapłacie uwagą, że bez makijażu nie znajdzie męża, a pracując w męskiej branży zwiększa swoje branie, trafił na ogólnie parszywy czas u niej, więc nie czekała na zmianę pogody, tylko weszła na drogę prawną. Nauczyciele w szkole twierdzili, że kierunki ścisłe są dla dziewczyn z charakterem. Wykładowcy w Niemczech nie wspominali, że powinna szukać zaczepienia w przemyśle kosmetycznym.

– Wygrałaś, powiedz o tym – zaprosiła ją Mila, wyłuskana pewnego razu z tłumy, tak, jak dziś ona rozpoznaje i przyciąga inne osoby. We wcieleniu aktywistki adwokatka traciła maskę chmurnego dystansu, śmiała się na końcu każdego zdania. Dopisała niedawną klientkę do listy mówczyń.

– Masz czas na zastanowienie, jesteś piętnasta. Powiesz po prostu, że nie dajemy się kiwać obleśnym dziadom – puściła oko, a może zamruwała z powodu wiatru. Obleśne dziady, nieelegancki epitet przy mało wyszukany rzeczowniku, skrót myślowy, niestosowny w sądzie. Tu pasował. Stały murem za „nami”, siekły faktami „onych”. Nie one podzieliły rzeczywistość – chciały ją na placu poukładać wreszcie dla siebie.

Uznała, że sukces roszczenia to nie jest dobry temat wiecowy, ale wyminęła konkrety, oczywiście nie użyła określenia „dziad”, tym bardziej „oblesny”, zastąpił go „mobbingujący pracodawca, stosujący seksistowskie metody, by pozbawić kobiety ich praw”.

– Przydługo, za grzecznie, wyrobisz się – oceniła Mila.

Rozgrzana aplauzem krzyczała o sile, potrzebie oraz konieczności. Rezonowała nastrojem placu, emanującą zewsząd potrzebą podsumowania rachunków. Znalazła w tym satysfakcję. Chce powtarzać do skutku, pokazać czerwoną kartkę, wywoływać odzew: „Dość, dość, mamy dość!”. Czekała na zagajenie dziewczyny w szalik, cmoka napięte pod wpływem niskiej temperatury policzki kobiet, ściska urękawiczone dłonie. Niemal przeoczyła Magdę.

Nie domyśla się, że Magda ma dziś dla niej prezent urodzinowy. Spóźniony. Od roku znów mieszkają blisko siebie i chodzą razem na kawę, ale w tygodniu urodzin wyjeżdżała. W następnym Magda dyżurowała popołudniami i w weekendy przy matce, luzując chorego na grypę ojca.

Drobne prezenty urodzinowe tworzą ich tradycję. Trzymają się razem, odkąd w jednej ławce posadziła je nauczycielka plastyki, dobierając pary według wzrostu, kryterium pozbawionego zna-

czenia dla żmudnych zadań, które miały wykonywać przez kolejne cztery lata. Nauczycielkę przypisały do kategorii niespełnionych, w tym przypadku artystek. Kategoria mieściła też niespełnionych: poetki (polski), dziennikarki (wiedza o społeczeństwie), inżynierów jądrowych (fizyka), biznesmenów (matematyka), pianistki (wychowanie muzyczne), żony (religia), matki (wychowawczynie klasy). Zgadzały się w tej sprawie, ustalając typologię w czasie, gdy schła farba na ich, a właściwie na Magdy malunkach. Obzłościwiały ciało profesorskie i połowę ludzkości. Niespełnienie dotyczyło innych, dla siebie planowały serie trafień w środek tarczy.

– Nie ma takiego kraju? Ja się do niego wybieram, siostró – mówiła Karola, gdy ktoś powątpiewał w ich plany na przyszłość.

– Pojedziemy razem, w te wakacje – potwierdzała Magda, pogardliwie odsuwając zeszyt z wypracowaniem pokreślonym czerwonym długopisem. Uwagi nauczycielki byłyby dobre dla przeciętniaczek.

Magda czytała na lekcjach, po lekcjach, nocą, w tramwaju, na plaży, chociaż nie brała pod uwagę studiowania literatury. Robiła za dwie rysunki, lepiła, wydzieriała, wycinała. Karola była teoretyczką. Rozwiązywała testy na sto procent.

Z okazji urodzin, imienin, na święta, bez okazji Karola dawała Magdzie w prezencie szminki, cienie do powiek, koraliki, figurki z porcelany. Magda Karoli książki, krem do rąk, czekoladki, kalendarze. Trafiły w gusta.

Stanowiły paradoksalną parę: żywiołowa Karola łatwo pojęła całki i różniczki, stonowana Magda malowała wesołe abstrakcje. Rodzice organizowali Magdzie korepetycje, kładąc do głowy, że musi w życiu coś osiągnąć, wybić się, skończyć dobre studia.

Nie żałowali swoich skromnych pensji. Przyjmowała ich program, póki mogła rysować na marginesach zeszytów. Starym Karoli nie zależało na prestiżu, nie mieli programu wychowawczego. Skupiali się na nienachalnym przekonywaniu córki do kiecek i zabieraniu jej na stadne wakacje, podczas których pływała w jeziorze lub zjeżdżała na sankach z górki w towarzystwie bandy dzieciaków zlepionej z kilku rodzin o luzackim podejściu do wychowania. Do tych zajęć i tak bardziej pasowały spodnie.

To wszystko wyblakłoby przez kolejne lata, uleciało, gdyby nie spotykały się regularnie i nie podsycaly barw anegdot, kultywując wyżłosciwianie, tę naturalną terapię, trochę trującą, a trochę oczyszczającą – w dopracowanych przez dwie dekady proporcjach.

Policjanci na koniach objeżdżają alejkę. Karola ustala z okutaną szalem organizatorką kolejność wystąpień, przeciera zawilgocone okulary, zerka w smartfona. Minuty, kwadrans, plac do połowy wypełnili ludzie. Magda poprawia plecak, dziś i naciąga na czoło czapkę. Zimno.

– Uff, są – ulga wypływa z ust dziewczyny w szaliku z kłębkim pary wodnej i osiada na okularach.

– Chyba parę setek? – Wpada w jej wesoło-poważny ton Karola. Z nowicjuski, dającej się ponieść wiecowemu impulsowi, zamieniła się w weterankę, dobrze znającą placowy savoir-vivre.

– Na pewno, na pewno, ponad trzysta – przyznaje skwapliwie tamta i odchodzi w stronę policjantów sprawdzających pozwolenia. Konny patrol znika.

Już się nie daje rozpoznać wszystkich twarzy, trzeba by pójść między ludzi, posyłać im uśmiechy. Przysiada na schodku, prze-

powiada sobie słowa przemówienia. Chce być dobrą mówczynią, a głos ją zawodzi, jakby w gardle Karoli panoszące się żeńskie mikroby podenerwowania i niepewności, wyhodowane na pożywcze zbieranych latami doświadczeń, kpiły z potrzeby wejścia na wyższy diapazon. Nie teraz, mówi im, nie teraz. Dostaniecie herbatę z malinami.

– Przesadzasz – powiedziała Magda, gdy się spotkały dziesięć lat wcześniej niedaleko tego miejsca, gdzie Karola czeka, by przekazać w tłum, oby bez załamań emisyjnych, swoją kwestię. Nie znalazła u przyjaciółki automatycznego zrozumienia, do którego przywykła. W pierwszej pracy była jedyną informatyczką, koledzy opowiadali przy niej kawały o blondynkach, a przy piwie usiłowali się bratać, stukać szklankami, przeciągać ją do obozu fajnych, męskich rozrywek. Nie odpowiadało jej ani jedno, ani drugie.

– Po prostu popisują się przed tobą. Ja się nie czuję zdominowana, nie potrzebuję specjalnego traktowania, super obrony – zadeklarowała z tym rodzajem pewności, który tak dobrze do niej pasował, że niemal maskował swe podobieństwo do tego typu fraz wypowiedzianych przez kobiety skonfrontowane ze słowem „feminizm”. Czasy niewinności, przypominała sobie tę ich rozmowę Karola, choć ona sama była jednak już wówczas w ofensywie i używała słowa na „f”. Wiedziała, co koledzy robią. Nawet ci taktowni poczuli się do solidarności z resztą stada, nie z laskami.

Istniały wszystkie miasta, które sobie wymyśliły, tak, chociaż niekoniecznie znalazły w nich szczęście. Zwiedziły i te mroczniejsze. Po maturze Magda wyjechała, zgodnie z oczekiwaniami rodziców, na tak zwane lepsze, ekonomiczne studia, które okazały

się właściwie nieprzydatne. Karola zmieniała kierunki, próbowała emigracji, szukała lokatorskich komun przypominających te z wakacji dzieciństwa, wracała do swojego pokoju u rodziców, a w końcu, gdy wyremontowali mieszkanie i zrobili w nim bibliotekę, wydobywając się z wiru przypadków i pochopnych decyzji, skończyła, ot tak, w swoim lekkim stylu, informatykę w Niemczech, wynajęła małe mieszkanie i zaczęła wędrowkę po niższych szczeblach korporacji, w mieście rodzinnym nie tak bardzo rozwiniętych jak w dolinkach krzemowych centralnej Polski. Magda podjęła studia doktoranckie i wyszła za mąż w Krakowie.

W dniu ślubu, na który nie pojechała, Karoli przyśniła się lalka w skrzyneczce z drzewa cedrowego. Miała rysy panny młodej. Rodzaj drewna Karola rozpoznała z precyzją handlarza mebli. Skurczenie Magdy do rozmiarów Calineczki wydawało się normalne. Sen wracał. Wciskał się w jawę. Witając się z Magdą odwiedzającą rodziców dwa-trzy razy w roku, wyczuwała cień cytrusów w okolicach jej małego, ozdobionego kolczykiem ucha. Jak pachnie cedr? Jak cytryna? Nie gadały o intymnych szczegółach małżeństwa, Magda ujmowała swój związek w sprawozdanie z zakupów mebli, wizyt u współników i wyjazdów na wakacje. Karola montowała z nich coś przypominającego trailer serialu o małżeństwie, w którym sceneria dominowała nad akcją. Epizody wakacyjne, epizody domowe z udziałem czułego przystojniaka. Sala sądowa.

Ich przyjaźń coś trzyma w mieście początku. Karola przeszła kolejne firmy IT. Zmienia pracę, zanim doczeka podwyżki, gdy tylko sprawy idą na ostro, rywalizacja o stanowisko zaczyna wchodzić w fazę czatowania na błędy pozostałych członków ze-

społu i przesiadywanie po godzinach. Lub gdy w konkursie lekko zwycięża kolega lubiący pograć w godzinach pracy, ale uznany za kompetentnego. Lub, lub. Powodów nie brakuje.

Aż do momentu, gdy stało się nieaktualne, Karola nie wiedziała, na czym polega bycie Magdy z wielbicielem nart, surfingu i wina – kogoś takiego przedstawia jego profil na fejsbuku, ocenzonej witrynie dobrobytu. Przystojny prawnik bez właściwości. Świadomy użytkownik mediów społecznościowych. Wcielenie kompetencji i racjonalnie wydawanych pieniędzy, należących się byłej żonie. Z kim ta Karola żyła? – Myśli Magda, wybudzona w środku nocy z wizji cedrowej skrzyneczki. Na pewno nie z kimś, kto ją oskubał z marzeń, wstrzymuje oddech ze złości. Sama nie wie, dlaczego wcześniej nie przerwała paktu taktownego milczenia, nie zorientowała się, że młode mężatki raczej gadają o wybranku za dużo niż za mało.

Powrót Magdy nastąpił nagle, w styczniu. Gdy się widziały drugiego dnia Świąt, używała formy „my” – „wybieramy się do Włoch”, „powiększamy kancelarię”, „posadziłam rododendrony” – a miesiąc później zadzwoniła z propozycją lunchu. Przy zupie oznajmiła Karoli, że zakotwiczy u rodziców. Sama.

– Matka zapomina, ojciec też nie młodnieje – usprawiedliwiła zwinęciem się do skromnego metrażu w starym-nowym budownictwie atrakcyjnych pejzaży, w których lokowała ją wyobraźnia przyjaciółki, gdy nie podsuwała wizji skrzyneczki.

– Nie mają nikogo – dodała. Życie w Krakowie zostało odcięte. Nieomówione, zapakowane w szary papier, wciśnięte między stare ciuchy w pawlaczu.

Po tym lunchu w aurze oświadczeń, choć Karola chciałyby być na bieżąco z emocjami, rozwód odbywał się za kurtyną, brało w nim udział inne wcielenie przyjaciółki, wspomagane przez Miłę. Magda, jak po jakichś przedłużonych studiach z nieudanym epizodem miłosnym, gospodarzy rodzicom i pracuje w należącej do krewnej galeryjce, w której próbuje sprzedawać cacka i pocztówki, opatrzone życzeniami na różne okazje i sentencjami czerpanymi zewsząd. Poleca klientkom i klientom reprodukcje nadmorskiego pejzażu Caspara Davida Friedricha z napisem „kocham”, serwetki wyszyte w kotki bawiące się kłębkami wełny. Podsuwa albumy wystaw progresywnych artystów wizualnych i lakiery do paznokci, opakowane w folię z fragmentami Ogrodu rozkoszy ziemskich Hieronima Boscha. Typowy składzik pamiątkarski potrzebuje nowych pomysłów, a krewna emerytury. Między tym wszystkim, co czeka na klientelę, chcącą nabyć na szybko urodzinowy drobiazg dla bliższych i dalszych krewnych, wiszą monochromatyczne grafiki, niemal niezauważalne i brane pod uwagę tylko przez szukających czegoś naprawdę dziwnego. Na taki obrazek w prezencie liczyła Karola, ale Magda oznajmiła, że szykuje niespodziankę.

– Nikt mnie nigdy nie dyskryminował. Kobiety, które tak mówią, same się proszą o złe traktowanie – powiedziała te dziesięć lat temu, jako młoda żona i nadal doktorantka wydziału ekonomicznego, badająca wzrost w sektorze średnich firm, stawiając energicznie półlitrową białą filiżankę na asymetrycznym spodku. Kawiarnia podawała latte ze szczodrością adekwatną do ceny. Pachniało jedzeniem. Złapał je stary lep bliskości, nie miały ochoty na sprzeczkę.

– Same się proszą? – drapieżne brzmienie wywołało u Magdy potrzebę zagrzebania się w sweter. Ściągnęła nowym gestem rękawy do palców.

– Ja się proszę o sprowadzenie do... – urwała Karola. Coś ją powstrzymało, ten odruch Magdy. Stawianie spraw na ostrzu noża, choćby retoryczne, nie pasowało do ucieczki dłońmi w sweter i do słonecznego przedpołudnia.

– Nie, nie – skwapliwie zaprzeczyła Magda. – Tylko mnie nic podobnego nie spotkało.

– Tyle razy słyszałam, że przesadzam... Pamiętasz Hankę? Czy Hanka tego chciała? – natarła Karola.

Półśłówka wystarczały w szkole, użyte nad latte śmierdziały obłudą, poza tym między sobą przecież wypadek Hanki omówiły, nie unikając fantastycznych wersji. Szkoła żyła plotkami, gdy piętnastolatka zniknęła w połowie semestru. Ktoś z klasy zobaczył ją w szpitalu, odwiedzając tam ciotkę. Ktoś słyszał, że posiniaczona twarz i złamana ręka to wynik wypadku. Jakiegoś wypadku, nawet z tego kpili, że spadła z roweru po pijaku, bo mieli etap dość ostrego imprezowania. Potem wyciekła kwestia pobicia, bez szczegółów. Była godzina wychowawcza z mętną pogadanką o zagrożeniach. Policjant zaproszony przez dyrektora zalecał, by dziewczyny ubierały się skromnie, nie chodziły ulicami po zmroku i nie piły alkoholu. Skoncentrował się na krytykowaniu dyskotek i postarzącego makijażu. Hanka wróciła do szkoły i pewnego dnia po prostu wyszła podczas lekcji, otworzyła wielkie okno na korytarzu i skoczyła z trzeciego piętra. Przeżyła. Przez lata jej próba samobójcza wracała w rozmowach w funkcji czarnego

punktu odniesienia, bez żadnych wniosków, po prostu samo imię „Hanka” pozwalało poczuć się bezpieczniej, bo coś najgorszego zdarzyło się dawno i komuś innemu. Innej dziewczynie. Tym razem Karola chciała odlepić Magdę od zaprzeczenia.

– Co z nią? Spotkałaś ją kiedykolwiek?

– Nie.

– Ja też nie. Dziwne, prędzej czy później natykasz się na każdego.

– A jednak – gdyby nie ta petycja, Karola już odeszłaby od tematu, bo wolała zachować relację z nastoletniości w niemal nienaruszonym stanie, odnawianą detalami miłych chwil. Chciała być tą od nieporządku i mieć w odwodzie tę od schludnie prowadzonych zeszytów. Tak to między nimi trwało.

– Wciskali nam kit, że powinniśmy nosić skromne kiecki, bo inaczej ktoś nas zgwałci – powiedziała jeszcze, choć nie była pewna związku tamtych wydarzeń z biurowym dyskomfortem. Nosiła spodnie, ale koledzy i szefowie lubili wypuścić, ot tak, sondę, sprawdzającą, czy jest „równa”, a może w ogóle nie bierze do siebie uwag o kobietach?

Dopiły kawę, zamówiły po soku. Magda planowała podróż poślubną. Minęła dekada.

Ze wszystkich zmian najdziwniejsza jest ta, która dotyczy Magdy, bo właściwie stanowi powrót do punktu wyjścia. Sklepik, azył Magdy, oferuje wiele detali, ocierających się o tandetę. Karola wyobraża sobie, jak kupione w nim obrazki ozdabiają życie innych ludzi, dodają nadziei. Sprzedawanie ich przypomina robienie na plastyce obrazków za najbliższą koleżankę, a czasem za innych, płacących fajkami lub winem. Biurko Karoli przypomina stoisko

wielobranżowe, z karteczkami zawierającymi rady do zastosowania w nagłych wypadkach. W plikach komputerowych ma porządek. Magda sądzi, że programowanie przychodzi przyjaciółce łatwo, jak rozwiązywanie zadań z matmy i fizyki, a rozgardiasz w otoczeniu dowodzi kreatywności.

Przychodzenie na plac obie uważają za naturalne, choć zaczęły praktykować z różnych pobudek i w różnym czasie. Magda, bo była tam Karola, prowodyrka wszystkich wspólnych akcji. Karola.... Owszem, nazywała się feministką. Taką praktyczną. Gdyby ktoś spytał, kiedykolwiek – dziesięć lat temu, osiem, w tamtej kawiarni, w lutym Magdzinego powrotu, albo wczoraj – o jej własne doświadczenia w byciu kobietą, powtórzyłaby historię biurową lub wymieniła co najmniej kilka powodów, z których wynikał przymus placu, bez uciekania się do własnego przykładu. Czy nie wystarcza, biorąc na logikę, że chciano kobiety zmusić do rodzenia dzieci, jakby były wyłącznie inkubatorami i karmicielkami, nie licząc się z ich zdaniem? Z ich zdaniem, łapie się na tym samym tricku oddalania od zbioru, który miała za złe Magdzie. One, nie my. Pilnuje języka, przemawiając, a w głowie nachalnie brzęczą „oni”, „one”. Plemiona obwarowane na swoich ziemiach. Jest też „ja”, nadal wymagające mocniejszej kreski. Schowane w Karoli biurowej, w kompetentnej programistce, oddanej córce i lojalnej partnerce.

Wszystko układa się przecież dobrze, znajduje ludzi, z którymi chce się wyjechać na kajaki, umówić do kina. Bywa w związkach, o których trąbi się pretensjonalnie na fejsie „to skomplikowane”, choć nie odczuwa tak tego, umiarkowanie zadowolona, gdy się zaczynają, trwają i wypalają. Na plac przyprowadziła ją jedna

z dziewczyn, z którą wytrzymała pół roku. Za duża różnica wieku i radykalne podejście. Musiałaby funkcjonować w trybie coming outu, bezustannie powiadamiając cały świat o natężeniu i powadze uczucia. Tego Karola nie chce. Dobrze. Lekko stchórzyła, ale ma romantyczne przeświadczenie, że miłości należy się domowe ciepło, nie barykada, a nawet nie fiesta. Dziewczyna, którą spotyka na demonstracjach, chciała kupować im identyczne ciuchy, jeść z nią jedną łyżeczką i przedstawić dziadkom, praktykującym katolikom. O tym też nie gadają z Karolą – o dziewczynach. To znaczy owszem, o wielu plotkują na cukrowo-kawowym hajcu, ale o kimś, kto czeka (jeśli czeka) w domu Karola mawia z niepasującym do niej infantylizmem: „moje kochanie”, co nie nadaje osobie zbyt wielkiej konkretności. Żadnych spotkań we dwie lub jedną i pół pary. Pikantnych uwag. Magda sztywnieje przy próbie przekroczenia tej zasady. Nigdy nie zapytała o imię „kochania”, zamyka służbę bliskości, patrzy ponad głowami ludzi, zaczyna opowiadać filmy. Sama też nie wyskakuje z rewelacjami na temat eksperymentów w swoim małżeństwie, a seks lesbijski to chyba nawet więcej niż eksperyment? Utrzymują symetrię: jeśli mi nie powiesz, nie będzie rewanzu, przymusu zwierzeń. Szara strefa ich kontaktów. To, wtedy – mówią. Czasy krakowskie, czasy przed. Zatajenia i wyminięcia dotyczące teraźniejszości i przeszłości, przy pozorach wchodzenia w najtajniejsze przesmyki drugiej. Od biedy mogące uchodzić za delikatność, rodzaj bufora, pozwalającego ciągnąć ich koleżankowanie jak nitkę karmelu z lepkiego cukierka.

Sklepik krewnej Magdy znajduje się nieopodal placu. W dniach zgromadzeń wywiesza na drzwiach kartkę: „Wyszłam na demo”,

bo ją takie jawne opowiadanie się klientom i sąsiadom z biznesów przy tej samej ulicy, położonej w cichej enklawie, bawi. Czuje się ważna, czuje się włączona i odrobinę psotna, gdy staje blisko demonstrantek ze śmiałym hasłem, pożyczca od nich dzielność. Jeszcze nie ma własnego hasła, w głowie brzęczy jej dobitny komunikat, który wysłałaby najchętniej jednemu odbiorcy – byłemu mężowi. To za mało, uznaje.

W marcu postanawia sama wymalować transparent. Połączyć nienapisany list ze zdaniami spisany na placu przez inne kobiety. Czasem tak robią, wystawiają planszę, na której każda może zostawić ślad. Chce dołączyć swój. Kiedyś. Myśli o tym. Wybiera temat. Planuje. Szkicuje kolorowy napis i obrazek. Czy nie zbyt śmiały? Potrzebuje zachęty. Ktoś jej do karteczki na drzwiach dopisał: „Szmato, omijam twój burdel i innym polecam” – więc zrobiła piękną zawieszkę, pierwszą odsłonę swojej ofensywy plastycznej i mocuje ją, wychodząc, po wewnętrznej stronie drzwi, żeby nie czytać obelg, nie robić złego flow pocztówkom, kotkom, energetyzującym lampkom oraz ciotce i może rodzicom. Rozgląda się, idąc na plac. Ktoś ją obserwuje, czai się, gdy ona sięga po płaszcz i wyjmuje ze stojącego przy drzwiach stojaka parasolkę. Biegnie szarpać klamkę, gdy ona znika za rogiem. Kto? Prawie się nie boi, choć wie, że byłby do czegoś takiego zdolny. Były mąż. Nie, jednak nie, ma nową żonę, odpuścił. Zawiedziony klient, przechodzień, czy właśnie sąsiad, na przykład miły, starszawy pan Marek, sprzedający w piwnicy starocie pod szumną nazwą „antykwareczne”? Energiczna właścicielka butiku z elegancką odzieżą damską? Ktoś z lodziarni, ale pracujące tam Ukrainki

nie mają czasu na obserwowanie sąsiednich drzwi, nawet poza sezonem, gdy amatorów zimnych deserów ubywa. Poza tym, czy byłyby zainteresowane protestami na placu obok, oscylując między nakładaniem waniliowych, sprzątaniami hotelu i towarzyszeniem małym dzieciom lub starszkom, skoordynowanymi na zakładkę? Marek przy pierwszym akcie małego wandalizmu wyraził ubolewanie, asystując jej z papierosem z zębach i namawiając, żeby złożyła zawiadomienie. Jakie, do kogo? On by złożył, wybili mu kiedyś szybę, pewnie chcieli ukraść antyki i zamienić je na flaszkę, sam się z tego podśmiewał: takie to antyki, flaszki warte. Przytakiwała, ale przecież szkoda nie zaszła. Nawet moralna, póki co, oszacowała.

Zabazgraną kartkę zostawiła na pamiątkę, Karola wyczuła zadowolenie, może dumę, gdy Magda pokazała jej tę swoistą korespondencją z klientem, wiszącą obok grafiki przedstawiającej latarnię morską. Nie dał zresztą za wygraną, zasprejował wystawę w dniu, w którym Magda ponowiła komunikat o wyjściu na demo, wykładając w dodatku na widoku rysunki lokalnej artystki inspirowane Czarnym Protestem. Ojcu się bardzo spodobały. Nie, nie przeszła na stronę feminizmu, reprezentuje samą siebie i zdrową ocenę sytuacji, powtarza. Te małe represje, chuligańskie podrygi, jakoś dodają Magdzie energii, zauważyła Karola. Nawet jeśli nie ma odwagi dopisać się do listy doznanych podłości, miewa łzy w oczach, gdy inne kobiety opowiadają swoje historie podczas kończącego zgromadzenia Hyde Parku. Stanowczo musi namalować transparent dla tych kobiet, dla Karoli. Pojawia się okazja – zaległy prezent. Chodzi o sztukę, o podarowanie piękna.

Magda zaskakująco łatwo przefrunęła z wyspy zaprzeczenia w sam środek łądu wściekłych ludzi, otoczonych strumieniem dość obojętnie przepływających, zajętych innymi sprawami młodych, starych i w nieokreślonym wieku. Sama przed sobą się do tego delikatnie, z zastrzeżeniami, przyznaje.

Co nie oznacza powrotu do rozmowy sprzed dziesięciu lat, bo jest zrozumiałe, że wczorajsze „przesadzasz” nie pasuje do dzisiejszego „mam dość”, do którego wymalowania na transparentach autorka prac ocenianych wysoko w liceum zdaje się stworzona, choć skończyła ekonomię na SGH i mogła wyjść z wprawy, pracując w kancelarii z mężem. Autorstwo grafik umieszczonych między reprodukcjami w sklepiku jest enigmatyczne, zamaszyste. Podpisy „Maria Szczecińska” trącą kamuflażem. Transparent, myśli, byłby obrazem, wszyscy musieliby go podziwiać, nie zważając na autorkę. A Karola by doceniła.

Karolę udział Magdy najpierw lekko zdziwił, potem uzależnił. Wypatruje przyjaciółki w tłumie, a jeśli nie dostrzega różowej, pomponiastej czapki, którą tamta nosi tylko na plac, głos Karoli traci moc, pamięć płacze akapity. Profilaktycznie czyta z kartki, niezadowolona z tego ustępstwa. Magda zaś przychodzi, bo zakaz aborcji jest absurdem i chce patrzeć na przemawiającą Karolę, co nie ma nic wspólnego z Magdзинym „ja”, potrzebującym uwolnienia od Marii Szczecińskiej. Albo z innych powodów. Albo bez powodu, po prostu ma blisko, łąknie powietrza. Chce iść szybko, nie tempem matki, z którą krąży co drugi dzień, zmieniając ojca, po parku. Poprawia zawieszkę z komunikatem o przerwie, zamyka sklepik i po pięciu minu-

tach staje w pierwszym rzędzie, widoczna dzięki tej wydzierganej własnoręcznie czapce.

A sen o pudełku, z którego Magda wychodzi ubrana, z zplecionym warkoczem, choć nigdy nie zapuściła włosów, idealna, wypoczęta i zaczyna mówić, ale niczego nie słysząc, powtarza się regularnie. Ma kilka wersji, kilka ciągów dalszych – idzie do sklepu, wiadomo, że do tego swojego, okazującego się antykwariatem pana Marka, albo wjeżdża szklaną windą, co trwa długo, wypełnia mózg śniącej, przeciska się do łóżka.

– Karolinko! – krzyczy głośno, jadąc do nieba w składzie ze starymi meblami. Miękka forma imienia i echo przerażają bardziej niż makabryczne leżenie w skrzyneczce, przekształcenia przestrzeni, przenikalne ściany i odkształcane w dłoniach przedmioty. Niż domysły dotyczące Krakowa. Śniąca chce uciec od zdrobnienia, wykopuje się z fazy REM, siada, odrzucając kołdrę, i zapala światło. – Magdalenko! – próbuje odkrzyknąć w górę, do tej windy, mknącej jak statek kosmiczny przez smogową mgłę ku różowej chmurze. Skoro trzeba być dzieckiem, żeby zaznać spokoju, użyje ciasteczkowego języka, kombinuje trzeźwo, patrząc znad poduszki na akcję. Zna ciasteczkowe narzeczce i nie wstydzi się słodkich słów. Sen wraca od tego samego miejsca lub w pętli, scena po scenie.

Zgromadzenie zestala się w kolorową formę. Widzi ją, tym razem bez czapki, więc pyta gestem o nakrycie głowy. Wietrzny dzień przechodzi powoli w zimny wieczór. Magda podnosi prawą rękę, zanurza ją we włosach, machając jednocześnie lewą. Myśli, że nikt jej od dawna nie pytał o to, czy jest dostatecznie ciepło ubrana, raczej ona troszczy się o garderobę rodziców. Odczu-

wa ten fakt jako opuszczenie. Wciska żal w głąb siebie. Przyszła na przyjęcie urodzinowe.

Szczegóły poznała tylko Mila, adwokatka z placu.

– Przedstawiam – Karola cmoknęła obie – to jest ta fantastyczna fajterka, która wyciągnęła moją kasę z gardła buca, uważającego, że dziewczynę można wykiwać.

– Łatwiiiiizna – przeciągnęła młoda kobieta z megafonem.

Bezustannie ją strofował. Nie zauważała tego na początku, a zaczął po kilku randkach. Miała lepiej (nie, nie cieplej) się ubierać, dać spokój z weekendowym wyjeżdżaniem na niepotrzebne studia trzeciego stopnia, poprawić angielski. W dniu ślubu orzekł, że brak jej gustu – sukienka-niespodzianka nie spełniła jego oczekiwań. Żałowała wiele razy, że nie odwołała ślubu po weekendzie w górach. Zostawił ją w hotelu, jeździł na nartach do późnego wieczora, nazwał łamagą. Tak, była trochę łamagą i mimo świetnych wyników na studiach stanowiła zlepek braków, nad którymi w dzieciństwie bezustannie pracowali korepetytorzy, a potem ona sama, widocznie niedostatecznie. Lekarstwa na felery dostarczała Karola. Nie uleczyła jej, bo rodzice podawali regularnie antidotum, przypominając o rozsądku, dobrej przyszłości, pracowitości. Najchętniej czytała i rysowała, a nawet nie pomyślała o akademii sztuki, o filologii, o architekturze. Architektura zadowoliłaby rodziców, gdyby wierzyli w talent córki.

Chociaż zdarzało mu się ją uderzyć, najdotkliwsze było utrwalanie w niej poczucia, że ma rację, patrząc karcąco zawsze, gdy się najbardziej starała. Także przy współnikach, a nawet klientach, znajdował sposób na podkreślenie tego, że mógłby ją zastąpić kim-

kolwiek, kto umiałby przynieść odpowiedni segregator. Co Karola mogła wiedzieć o chamskich odzywkach najbliższego człowieka? Bagatelizowała jej biurowe smutki. Właściwie cały czas rozumiała, że jest wyzutym z wyższych uczuć narcyzem, a jednocześnie widziała samą siebie w formie przycisku do papierów równiutko ułożonych na stole konferencyjnym. Podwójne widzenie, zaburzone uczucie. Unikał spotkań z własną matką i bratem, rozmów o dziecku, czułości. Nie była podręcznikową ofiarą, która orientuje się w sytuacji, gdy lekarz pogotowia mówi jej, że po tym urazie nie będzie chodziła. Miała nadzieję, że się utrą, dopasują. On przestanie oczekiwać niemożliwego i zaakceptują ją, jaka jest – niezbyt reprezentacyjną, ale pracowitą. Stawała za nim i próbowała głaskać go po głowie. Strącał z siebie jej dłoń, mówiąc przez zaciśnięte zęby, że nie jest psem czy kotem. Odeszła dopiero, gdy ją zdradził z aplikantką, córką współnika. Gdy, zobojętniała, wyjechała do rodziców z jedną walizką, przypomniał jej w liście napisanym na firmowym papierze, że ich umowa przedślubna wyklucza ją z udziału w majątku, zdrada była urojona, a odejście wskazuje na winną. Odpuściłaby, ale na odległość odzyskała zdolność pojedynczego, ostrego widzenia.

Gdyby zapytała ją wprost, liczyłaby się z podobną ciekawością. Biurowe rozgrywki i dzieje niepłaconych nadgodzin nie wystarczyłyby za całą historię dorosłego życia („pożycia”, ironizowała), musiałaby wyjaśnić Magdzie dużo więcej, odkodować intymne szyfry. Słowo „rozwód” wpadło w środek rozmowy jak kamień rzucony przypadkiem i zgarnięty niedbale na stos podobnych. Karolę nawiedzał sen o Magdzie, chociaż widywały się często i metafory mogłyby zastąpić konkretami.

Różowa czapka, wyjęta z kieszeni, odbija się od tła czarnych kurtek. To jest ten dzień, postanowiła, przekręcając wywieszkę na: „Przerwa protestowa, zapraszam jutro o 10.00”. Cofa się w głąb sklepu, otwiera szafę, wyjmuje z niej mały pakunek, mieszczący się do plecaka. Przewiesza plecak przez ramię. Idzie szybko, z powodu zimna i z radości. Staje z przodu, lekko trzęsą się jej ręce, obawia się klapy. Czy pomysł był dobry? A wykonanie?

Karola zmierza ku scenie zdecydowanym krokiem. Nie musi patrzeć na plac, jest gotowy. Ma teraz po prostu przeczytać żądania. Spisane w ostrej formie, bo minął czas na negocjacje. Tak, dziś poprosi zgromadzenie, żeby wyciągnęło konsekwencje z ogólnej niezgody na robienie różnic. Żeby przyjęło zasady, wedle których mgła spowijająca jej życie, opór stawiany tym różnym półjawnym i jawnym obelgom, pominięciom, poniżeniom będzie, czym jest. Przeczyta więc spisany z Milą i całą grupą projekt, a potem schowa kartkę do kieszeni i opowie placowi o sobie. Cóż, będzie mówiła w kierunku różowej czapki, Magda pewnie opieprzy ją za to, że nie poznała wcześniej scenariusza popołudnia.

Zaraz zapadnie zmrok, więc nie ma na co czekać. Co prawda plac oświetlają latarnie i dodatkowe halogeny, ale Magda chce pokazać swoje dzieło w pełnej krasie. Sięga do plecaka i traci z oczu Karolę. Transparent jest skonstruowany na wzór parasolki – po naciśnięciu przycisku rozwija się nad głowami. Wieńczą go tęczowe wstążki. Karola słyszy oklaski. Chce pomachać ludziom. Widzi ruch w pierwszych rzędach i dociera do niej, że aplauz wywołało coś, co nie dzieje się na scenie. W centrum poruszenia różowa czapka z kolorowym czymś na patyku. Wymalowała hasło? Jakie? Od Magdy dzieli ją

teraz kawał betonu, ze sto metrów. Obraz faluje. Widzi feerię kolorów. Może nie ma napisu, sam obraz. Magda coś namalowała, chyba fajnego, skoro stojące wokół niej kobiety klaszczą.

Mechanizm zadziałał. Nie była go pewna. Trzyma się całkiem dobrze, ta parasolka-latawiec z tęczą i kwiatkami. Karola na pewno zrozumie, że to jest odłożona odpowiedź na niewybrzmiałe pytania. Inna odpowiedź dotycząca ich i Hanki. Rozvodu. Życia Karoli. Manifest. Dzieło wotywnie. Właśnie w tej samej sekundzie, w której w Magdzie narasta duma z tego, że tak ładnie wykonała protestowo-urodzinowe akcesorium, dosięga ją kamień. Właściwie nie wie, co to takiego, słyszy głuchy dźwięk uderzenia, ból, cofnięcie i ciepłą krew spływającą po czole.

Karola biegnie w tamtą stronę, policjanci na koniach pędzą poza plac. Słyszą sygnał karetki. Ludzie podtrzymują Magdę, wycierają jej twarz. Tego momentu żadna z nich nie zapamięta.

Transparent jest esem-floresem, wylepianką, patchworkiem, spełnionym dziełem niespełnionej wcześniej artystki. Plac unosi je, podaje sobie z rąk do rąk, a w końcu wkłada w rękę Karoli. Obdarowana odczytuje pociągnięcia pędzlem niczym hieroglify. Wychodzi na scenę, bo już wie, że Magdzie nic nie będzie, przenika w wyobraźni najbliższe godziny w szpitalu, dni zmieniania asortymentu w sklepiku, zamazywania dziur. Koleiny niemrawego śledztwa. Wykrzykuje żądania, trzymając nad sobą dzieło Magdy. „Mamy prawo być. Mamy prawo do równości. Mamy prawo do niedyskryminacji. Mamy wszystkie prawa człowieka”. Głosy z placu niosą się daleko, szum miasta lekko je zagłusza.

„Stowarzyszenie Amnesty International Polska obchodzi w 2020 roku 30-lecie swojej działalności. W tym czasie wspólnie z Wami walczyliśmy o prawa człowieka biorąc udział w protestach, zbierając podpisy pod petycjami, cyklicznie organizując Maraton Pisania Listów. Mimo zmieniających się okoliczności zawsze motywowały nas nadzieja i wolność.

Z okazji tego jubileuszu realizujemy wyjątkowy projekt, który powstaje we współpracy z polskimi twórcami i twórczyniami literatury oraz agencją kreatywną 180heartbeats + JUNG v MATT. „Wierzimy w wolność” to zbiór opowiadań o prawach człowieka”.

Poznaj te historie na: amnesty.org.pl/wierzimy-w-wolnosc/

#30AmnestyPL

